

**KONRAD KOMORNICZAK**

# **„MARATON”**

- Pamiętasz jeszcze jak to się wszystko zaczęło?

Odwrócił głowę w jej stronę nieco zaskoczony pytaniem.

- Jak mógłbym zapomnieć – podniósł delikatnie kąciki ust uśmiechając się przyjaźnie. – To było dokładnie trzydzieści lat temu. Dwa lata po naszym ślubie.

- Jakoś wiosną chyba.

- Tak, jeszcze za wiceprezydenta Frankiewicza.

- Nieodżałowanej pamięci.

- Biegał średnio, ale człowiek był naprawdę zacny.

- Co racja, to racja – spojrzeli na siebie jakby podświadomie komunikując, że gubią gdzieś prawdziwy temat rozmowy.

- Kłóciliśmy się i nazwałaś mnie oferumą. Powiedziałaś, że przestałem być męski i że mnie zostawisz.

- Wcale nie zamierzałam.

- Nieważne. Pamiętasz chociaż o co się wtedy kłóciliśmy?

- Nie mam pojęcia – odpowiedziała zastanowiwszy się chwilę.

- Ani ja. Muszę lecieć. Zaraz zaczynamy. Do zobaczenia za trzy godziny.

- Trzy godziny? Chyba za bardzo dałeś pofolgować pamięci staruszku. Nie masz już dwudziestu lat – roześmiała się szeroko odsłaniając białe zęby, choć widziała jego srogie, mówiące „Ja ci jeszcze pokażę” spojrzenie. Na koniec klepnęła go - na szczęście, w pośladek, jak miała w zwyczaju corocznie czynić. – Zmykaj, bo się spóźnisz. Poszedł.

Parł do przodu, by jak najszybciej ustawić się w pierwszym rzędzie. Pozostali uczestnicy zdziwieni przepychającym się starszym panem nie reagowali. Pozwolili mu przejść choć nie rozumieli dlaczego tak bardzo zależy mu na tym, by stanąć dokładnie na linii startu. On wiedział. Z tego miejsca było najbliżej do mety. To przede wszystkim. Poza tym to właśnie tutaj po raz ostatni na trasie miał okazję podziwiać tych, o których wynikach mógł jedynie pomarzyć w najbardziej fantastycznych snach – gibkich Kenijczyków, umięśnionych Polaków i Ukraińców o skoncentrowanych spojrzeniach oraz jednego Niemca, który kiedyś prawie zdobył olimpijskie złoto – wszystko to nim zaczął pić i kompletnie stracił formę. Roman stanął wreszcie ramię w ramię z faworytami do zwycięstwa i obejrzał się na nich złowrogo. Nie miał szans i doskonale zdawał sobie z tego sprawę. Nie chciał jednak dać po sobie poznać słabości. Nie przed startem.

Ruszyli. Natychmiast tłum ludzi zaczął mijać mężczyznę, który swoim własnym tempem ruszył w morderczy wyścig. Podłączył się do grupy biegnącej za balonem z wypisanym rezultatem 4:00 ciągnionym przez jednego z przedstawicieli organizatorów. Jego też prędzej czy później prawdopodobnie zgubi z oczu, ale nie to było teraz ważne. Biegł powoli mając świadomość dystansu, który go czeka, łapiąc powolnie oddech przez nos i wypuszczając go przez usta. Czytał kiedyś w gazecie, że to pomaga utrzymać prawidłowe dotlenienie wszystkich części ciała. Może słyszał to w telewizji. O tej żelaznej zasadzie miał jednak również zapomnieć. Pamiętał przecież jak co roku w ten sam sposób zaczynał wyścig, by później ze zmęczenia, z każdym następnym kilometrem łapać oddech inną częścią ciała. Ustami i nosem. Ustami, nosem, głową, stopami – całym sobą. Gdyby ktoś go o to zapytał, przysięgłby, że nic z siebie nie wydychał. Zużywał wszystko a i to okazywało się za mało. Teraz jeszcze nie było tak źle. To nie był jeszcze ten moment.

Przebiegł całą ulicę Warszawską, Kórnicką, spojrzął na Wartę z mostu Świętego Rocha. To zawsze lubił najbardziej. Świadomość traconego za plecami dystansu

dodawala mu sil i nadawala celowosci pozornie bezsensownemu biegowi. Poza tym byl jeszcze on – Poznan – miasto, ktore kochal, cenil i podziwial. Ulice, po ktorych teraz biegl przeszedl juz w swoim zyciu po wielokroć nie zastanawiając się jednak przy tym nigdy ile kroków zrobil od koryta rzeki do zielonego skweru, od ławki, gdzie czytala gazetę do tej, na ktorej popijal w cieple popołudnia piwo z kolegami, od góry do dołu wreszcie. Od wzdłuż do wszcz. Nim się obejrzał znalazł się na Starym Rynku, by przed swoimi znajomymi, kolegami z pracy i ich dziećmi wykonać honorową rundę wśród okrzyków nie przygasłych jeszcze od wiwatów na cześć biegnących daleko przed nim liderów wyścigu. Jej nie było. Jej tam nigdy nie było.

Doping kibiców dodal mu odrobinę otuchy i rozgonil pierwsze oznaki zmęczenia przebiegające przez mięśnie. Znaczona taśmami droga wiodła dalej pod górę na Rataje i do Antoninka. Tych chwil nie pamiętał. Nie było kibiców. Był tylko on, asfaltowa droga i podawane przez ochotników napoje, co każde pięć kilometrów. Po jednym kubku dla każdego. W biegu wrywał im z rąk zawsze po dwa lub trzy i absolutnie nie zamierzał się tego wstydzic. W rowie przy drodze leżalo setki pustych. Znak, że pewnie wszyscy, którzy mieli się napić juz dawno to uczynili. Miejska dżungla – prawo dżungli. Nim się spostrzegł minęły dwie godziny i był juz na Malcie. Udało się więc. Powrócił do miejsca, z ktorego wszyscy wystartowali, z całkiem niezłym czasem. Przebiegl tylko z cichym westchnieniem obok spokojnych brzegów maltańskiego jeziora i wyruszył na drugą pętlę. Połowa była juz za nim.

Październikowe niebo, zapewne by zaostrzyć selekcję wśród uczestników maratonu zasnuło się siwymi chmurami i wkrótce wydało z siebie rześisty deszcz. Roman nie czuł kropli rozbijających się o wołające „Stop!” ciało. Duch był silniejszy. Kiedyś juz nie wytrzymał i chcial się poddać. Pragnął zatrzymać się i nigdy więcej nie biegać, nie chodźć, nie robić nic. Zatrzymał się, lecz ku swojemu zdziwieniu, wprawiane w ruch przez blisko cztery godziny nogi, biegły dalej. Pamięć mięśniowa, a może drugi, silniejszy Roman. Zdziwil się, ale nie chcial wiedziec co spowodowało taką reakcję organizmu. Postanowil natomiast juz nigdy nie rezygnować. Biegł dalej zamknięty w kłębowisku własnych myśli. Sama głowa na nogach prowadzona dobrze znaną płataniną bialo-czerwonych taśm.

Pamiętał dobrze ostatni kilometr przed metą. Liczył kroki, dzielil dystans na tysięczne, setne, dziesiętne, czwarte i trzecie części. Podziлил go wreszcie na pół a potem na jeszcze kolejne. Z każdym krokiem dzielony na pół dystans robil się jednak coraz nieznośniej nieosiągalny. Marzył o niej. Ona była tam zawsze. Ona i meta. Sto dziewięćdziesiąt trzy, sto dziewięćdziesiąt cztery, sto dziewięćdziesiąt pięć. Dokładnie czterdzieści dwa kilometry i sto dziewięćdziesiąt pięć metrów. Przebiegl i tym razem. Na czas nawet nie zerknął. Dawno juz minęły lata, gdy zerkał na zegar. Teraz był po prostu szczęśliwy. Podbiegl do niej, wsparł się na jej ramionach, pozwolil okryć się kocem i odprowadzić do auta.

Bardzo powoli wyczołgal się z samochodu i przez ciężkie zelazne drzwi wszedł do parterowego domu. Wspierając się co rusz o ściany podszedł do lodówki i wyciągnął z niej puszkę piwa. Zasiadł w pokoju głęboko zapadając się w wysłużoną wersalkę, co natychmiast spowodowało ogromny ból w zakwaszonych wysiłkiem mięśniach, ponaciąganych ścięgnach i przeciążonych stawach. Wykrzywil tylko na moment usta w grymasie i otwierając puszkę niemal jednocześnie włączył telewizor, by zobaczyć relację

z rozdania nagród. Zdążył na czas. Spiker lokalnej telewizji ekscytował się właśnie zwycięzcą i jego nowym rekordem poznańskiej trasy.

- Zrobić ci herbatę? – spytała cicho, zerkając na niego z przedpokoju.

- Nie.

- Powiedz mi – przekroczyła próg i usiadła obok niego – Ty naprawdę robisz to wszystko przez to, co ci kiedyś powiedziałam?

- Nie.

- Nie?

- Nie. Przecież znam swoją wartość i wiem, że mnie kochasz – odpowiedział spoglądając na nią po raz pierwszy od kiedy weszli do domu.

- Kupię ci kiedyś bilet do Nowego Jorku to pobiegiesz w jeszcze większym maratonie.

- Żartujesz? Nigdzie się stąd nie ruszam. Poza tym muszę ci się do czegoś przyznać.

- Mów – trzymali się już wtedy za ręce.

- Nienawidzę biegać. To strasznie męczące.

- To dlaczego to robisz? – ścisnął ją jeszcze mocniej, ucałował w czoło i ze spokojem, którego tak często mu brakowało wycedził przez w pół otwarte ze zmęczenia usta.

- Nie wiem. Po prostu jakoś po wszystkim piwo smakuje mi lepiej.

- Głupi jesteś jak but.

- Ty też. Kto nie jest?

Tego wieczora śmiali się jeszcze wiele razy, ale już nie tak głośno jak teraz.